

ANDREAS LAWATY, MAREK ZYBURA (red.): „*Nasz nauczyciel Tadeusz*”. *Tadeusz Różewicz i Niemcy*, Kraków 2003, 376 ss.

Historia niemieckich obrachunków poety jest długa i zawiła, obejmuje bowiem zarówno dzieje szerokiej recepcji poezji Różewicza w Niemczech, jak i jego częste peregrynacje w świecie niemieckiej kultury. Całkiem słusznie piszą przeto obaj redaktorzy tomu, stanowiącego pokłosie międzynarodowego sympozjum poświęconego niemieckim kontekstom twórczości poety, które odbyło się w 2001 r. w Opolu, Kamieniu Śląskim i Brzegu, iż „Trudno byłoby (...) znaleźć drugiego współczesnego pisarza polskiego, u którego obcowanie z literaturą i kulturą niemiecką byłoby równie intensywne i wszechstronne. Stanowi ono u niego podstawowe doświadczenie duchowe o jednostkowym, egzystencjalnym charakterze”. Zważywszy, że Różewicz należy do pokolenia wojennego (walczył w partyzancie) i że okupacja dotknęła go również osobiście (zamordowano mu starszego brata), „obcowanie” to nie jest bynajmniej oczywiste i zrozumiałe samo przez się. Prócz mozołu intelektualnej pracy stoi za nim przeświadczenie, że Niemcy to coś więcej niż „Auschwitz”, a Niemiec ktoś więcej niż „Hitler”. Jak celnie zauważa Zbigniew Majchrowski, autor szkicu *Różewicz i Niemcy*: „Dla mnie, dla mojej generacji, Tadeusz Różewicz stał się akurat tym pisarzem, dzięki któremu uwalniałem się (...) od pewnej wizji Niemiec: tej urazowej (...), a także tej propagandowej, gomułkowskiej, bo przecież aparat partyjnej propagandy celowo podtrzymywał niemiecki uraz ze względu na polityczną pragmatykę 'przyjaźni ze Związkiem Radzieckim'”. Konkluzja Majchrowskiego jest jasna i jednoznaczna: „To właśnie Różewicz zaczął przywracać zbrukanemu przez faszyzm językowi niemieckiemu i wypartej niemieckojęzycznej kulturze należne miejsce w okaleczonej polskiej świadomości”. Polskiej? Owszem, a jednak śledząc twórczość poety nie można się oprzeć wrażeniu, że Różewicz czynił to wszystko poniekąd dla siebie i w swoim własnym imieniu. A dokładniej: w imieniu własnej okaleczonej świadomości. Jego poetykę wyznaczają bowiem liczne traumy, pęknięcia, rany. Jeśli poezja jest „walką o oddech”, to Różewicz walczył, by jego oddech nie zamarł, walczył, by ocalić świadomość, choćby miała to być nawet świadomość splekana, poraniona, niepełna. Świadomość fragmentaryczności, dysharmonii, próżni, pustki. Jakbyśmy, a wraz z nami poeta, znajdowali się w samym środku prorokowanej przez Nietzschego ery nihilizmu... Być może Różewicz istotnie jest jej kronikarzem, pisze bowiem w pewnym miejscu: „Dla mnie liryka to działanie, a nie pisanie ładnych wierszy. Stwarzam pewne fakty, reaguję na wydarzenia faktami, które układam w formie wierszy – a nie 'poezją'”. Stąd bierze się zapewne publicystyczne zacięcie niektórych utworów poety, choć nazwać je reportażem z rzeczywistości byłoby zapewne grubą przesadą. Wiersze zawsze przecież pozostają wierszami, a zatem skondensowanym wyrazem zderzenia uczucia ze zjawiskiem, odczuwania z jego przedmiotem. Charakterystyczna forma „wiersza Różewiczowskiego” kaže się zastanowić, czy rzeczywistość, którą próbuje objąć w swoich „wymizerowanych” wersach, w „wychudzonych” strofach, nie jest przypadkiem zwyczajnym śmietnikiem. Wszak nie bez przyczyny dwa spośród czterech zdjęć zamieszczonych w wydanym w 1991 r. tomie *Plaskorzeźba* ukazują poetę grzebiącego w odpadkach. Czego Różewicz tam szuka? Materiału do wierszy? Istotnie, już niemal trzy dekady wcześniej wyznaje: „Moje własne poezje oceniam z wielką nieufnością. Stworzyłem je z resztek pozostałych, ocalonych wyrazów, nieinteresujących słów, słów z wielkiego śmietnika, wielkiego cmentarzyska”. Nader wątpliwe, czy ktoś taki zasługuje na miano poety, a już nie daj Boże „nauczyciela”, cicerone, preceptora, czy mistrza. Bo czegoż ów „mistrz” miałby nas „nauczyć”? Jakaż nauka płynie z myszkowania w miejscach, w których składa się to, co nieczyste i zbędne? A jednak Różewicz uporczywie brnie dalej w te wstydlive rejony, w ten śmietnik, przeczuwając zapewne, że w jego pokładach kryje się ważna metafora. W jednym z ostatnich tomów wierszy dał jej zresztą wymowny wyraz, opatrując swe utwory wspólnym tytułem: „*zawsze fragment* recycling*”.

Dziwi przeto, że niemal wszystkie artykuły zebrane w książce „*Nasz nauczyciel Tadeusz*”. *Tadeusz Różewicz i Niemcy* tak niefrasobliwie ignorują zagadnienie, które z perspektywy „fragmentaryczności” pisarstwa Różewicza musi się wydawać wręcz palące: czy Tadeusz Różewicz to poeta postmodernistyczny? Nie miejsce teraz, by rozważać ten złożony problem, tym trudniejszy,

że określenie „postmodernizm” nadal w wielu kręgach akademickich bywa równoznaczne z obelgą. Dość jednak wspomnieć o nietzscheańskich inspiracjach poezji Różewicza, by kwestia jej postmodernistyczności przestała szokować. Choć o niektórych jego poematach skomponowanych niczym „sluchowisko”, „spektakl”, czy „show” (a więc bliskich regułom postmodernizmu) wspomina np. Heinrich Olschowsky w artykule *Poeta, Ojciec, Bóg. Topos przekraczania u Tadeusza Różewicza*, a Alois Woldan porusza zagadnienie postmodernistycznej intertekstualności Różewicza, to jeden jedyny Andrzej Skrendo, autor napisanego z werwą szkicu *Poezja po „śmierci Boga”*, waży się podjąć ten wątek na dłużej, nie wychodząc wszakże poza problem „śmierci poezji” w kontekście „śmierci Boga”. Interpretując znaczenie tej pierwszej, powołuje się na Heideggerowską wykładnię nihilizmu „jako historycznie uwarunkowanego procesu zaniku gruntu, utraty fundamentów, nicestwienia bytu”. Często zarzucano poecie, że „uśmierca”, że „niszczy”, że jest destruktoorem i nihilistą. Jak zauważa Skrendo, „upór Różewicza sprawiał, że jemu samemu zaczęto zarzucać nihilizm, ponieważ musi być nihilistą ten, kto odmawia wysiłku odbudowy kultury. Tymczasem Różewicz nie uchyla się od takiego obowiązku, zwraca tylko uwagę ochoczym i naiwnym budowniczym, że usunął się grunt, na którym można by wnieść nowy gmach”.

Rozważając te słowa w kontekście tytułu poświęconej poecie książki, można by powtórzyć pytanie: Kim jest „nauczyciel” Tadeusz Różewicz? W ważnym, choć niespełna trzystronicowym szkicu Michaela Krügera *„Nasz nauczyciel Tadeusz”*, czytamy: „Do tych rzadkich, bynajmniej nie zwykłych ludzi, którzy potrafia stawić czoło temu paradoksovi – na nic nie czekać, a mimo to nie poddawać się zwątpieniu – należą wielki poeta Tadeusz Różewicz. Nauczyciel bez licencji na nauczanie, na którego seminaria idzie się dobrowolnie i kończy się je bez świadectwa”. Chciałoby się rzec: nauczyciel *à rebours*. Nauczyciel, który mówi: „Przygotuj się, by na nic nie liczyć. Niczego nie planuj, na nikogo nie czekaj. Tylko tak będziesz mógł coś zrobić. Wejź do środka. Do sedna. Do wnętrza, które zamknięte jest przed tymi, którzy planują, działają i oczekują”.

Stwierdzenia owe dają asumpt do kolejnego pytania: Czy autorzy artykułów poświęconych niemieckim kontekstom twórczości Różewicza zasługują – jako jego czytelnicy – na miano „uczniów”? Czy wchodzą „do środka, do sedna, do wnętrza”? Czy dotyczą istoty poruszanych przez poetę zagadnień, czy też niczym wyrobownicy nauki po prostu „planują, działają i oczekują”? Ważąc na tej osobliwej szali zbiór szkiców *„Nasz nauczyciel Tadeusz”*, *Tadeusz Różewicz i Niemcy*, nie można się oprzeć wrażeniu, że owszem, to wszystko „uczniowie”, tyle tylko że chyba... nazbyt pilni, dokładni, nazbyt wewnętrznie poukładani, a więc i nazbyt przewidywalni. Podobni do owych pierwszoklasistów, którzy pchają się do przednich ławek, co chwila podnoszą w górę palec i znają odpowiedź na każde zadane przez nauczyciela pytanie. A przecież na to najważniejsze pytanie odpowiedzi nie znają... Z wyjątkiem kilku, którzy lubią „wagary”, większość prezentowanych w tej książce autorów to właśnie „pilni uczniowie”. Sumiennie przykładają się do nauki, regularnie odrabiają lekcje, spokojny nurt ich szkiców płynie jednak obok niespokojnego żywiołu Różewiczowskiej poezji. Można w tym miejscu zastanawiać się, czy zadaniem uniwersyteckiej filologii jest pójście za głosem pisarza, czy też próba zbudowania metadyskursu, który z lotu ptaka obejmowałby meandry jego twórczości. Rozum podpowiada to drugie, ale serce (chwilowo przystańmy na tę „prostą” dychotomię) stawia zaskakujący opór. Jaki bowiem sens posiada wznoszenie wielopiętrowego gmachu hipotez, jeżeli dotyczą one czegoś, co się żadnym sposobem nie daje scalić, ogarnąć, zobiektywizować, z czego, innymi słowy, nie da się zbudować domu, a jedynie co najwyżej lichy szałas, a i to na krótko? Jeszcze inaczej: Dlaczego próbować scalić coś, co na „zawsze” pozostanie „fragmentem”? Dlaczego reperować pęknięte szwy? Dlaczego tworzyć iluzję całości? Przywoływany już w tym miejscu szkic *O niemieckich intertekstach u Tadeusza Różewicza*, pióra znanego skądinąd i cenionego badacza, jest przykładem na to, w jaki sposób „akuratne” odrabianie „lekcji (z) Różewicza” omija istotę jego twórczości. Alois Woldan to filolog nad wyraz sumienny, który z zapalem szpera, myszkuje, gromadzi... a jednak pozyskana przezeń wiedza, choć objętościowo niemała, ani o krok nie przybliży nas do poznania istoty owego

„pęknięcia”, z którego wyrasta intertekstualność w twórczości poety. Być może nie należało „zszywać” poezji Różewicza na siłę?

Nieraz tęskno mi do wielkich monografii, które rozproszoną wiedzę niezliczonych „tomów zbiorowych pod redakcją...” zebrałyby w jedną wszechogarniającą całość. Lecz w chwilę potem myślę sobie, że najlepsza metoda zmierzenia się z przesłaniem każdego wybitnego „nauczyciela” poezji wie się *O jednym wierszu...* Utwór po utworze, uważnie, starannie, z należnym poecie respektem, ale i próbą stworzenia własnego języka. Razem, ale osobno. Pilnie, ale i odrobinę na przekór. Grzecznie, a zarazem jakby trochę bezczelnie. Na dobrą sprawę chyba tylko tak można oddać sprawiedliwość genialnej literaturze.

Znakomita większość filologów z szybkością odrzutowców śmiga po całych epokach, porządkuje, szufladkuje, generalizuje, dumnie obnosząc przed światem swoje wspaniałe budowle – monografie, artykuły, przyczynki. A gdzie jest w tym wszystkim poeta? Wracając do naszej metafory: poeta jest tam, gdzie zawsze był, przy śmietniku. I grzebie rękami w odpadkach. Czy utyłanego wpuszczą na uniwersyteckie salony?

W pewnym utworze Różewicza czytamy: „po końcu wiersza / zaczyna się / nieskończoność // wsłuchaj się”. Wsłuchaj się. Czasami lepiej jest nic nie mówić, niż mówić za wiele. Filologia bez słów jest możliwa, filologia bez słów jest niemożliwa.

Lukasz Musiał

Noty

DANIEL HILDEBRAND: *Landbevölkerung und Wahlverhalten. Die DNVP im ländlichen Raum Pommerns und Ostpreußens 1918-1924*, Verlag Dr. Kovač, Hamburg 2004, 365 ss.

Omawiana książka – rozprawa doktorska, obroniona na Wydziale Filozoficzno-Historycznym uniwersytetu w Stuttgarcie – może zainteresować polskich historyków choćby z tego względu, że dotyczy obszarów dawnych Prus Wschodnich i Pomorza, a więc ziem, które w większości zostały w 1945 r. włączone do Polski. Przygotowując swe studium autor wykorzystał, obok zasobów archiwów m.in. w Berlinie, Koblencji i Greifswaldzie, także materiały przechowywane obecnie w archiwach państwowych w Szczecinie, Toruniu, Elblągu (z siedzibą w Malborku) i Olsztynie.

Autora interesował przede wszystkim elektorat wiejski *Deutschnationale Volkspartei (DNVP)*, Niemieckonarodowej Partii Ludowej, stronnictwa łączącego nacjonalizm z konserwatyzmem, partii protestanckiej i monarchistycznej, przez pewien czas stanowiącej potężną siłę po prawej stronie sceny politycznej republiki weimarskiej. Wieś na Pomorzu i w Prusach Wschodnich, zamieszкана w zdecydowanej większości przez ludność wyznania ewangelickiego, była prawdziwą twierdzą „niemieckonarodowych”. Stąd dziwi może to, że rozprawa dotycząca właśnie tych regionów została opracowana dopiero teraz.

Lata 1918-1924, będące przedmiotem badań D. Hildebranda, były okresem rosnących wpływów *DNVP* w skali całych Niemiec. W pierwszych wyborach do Zgromadzenia Narodowego, w styczniu 1919 r., na partię tę oddało głosy 10% biorących udział w głosowaniu. W wyborach do *Reichstagu*, półtora roku później, *DNVP* zwiększyła swój udział do 15%, a w maju 1924 r. – do 19,6%. Szczyt powodzenia *deutschnationale* przypadł na grudzień 1924 r., kiedy stronnictwo to uzyskało 20,5% oddanych głosów i uplasowało się, jako frakcja, na drugim miejscu w parlamencie (po socjaldemokratkach, z ich 26%). Później już elektorat *DNVP* stale się kurczył, głównie na rzecz narodowych